Rozmaitości

DNIA 25. KWIETNIA Ner 17. 1835 ROKU.

WIEŚ SERBY.

POWIEŚĆ UKRAIŃSKA.

I.

Orliko, słuchaj: niech go niebo strzeże,
Kogo postawi piekło między nami!
Zamek Kaniowski.

Z gęstwy lasu, ciągnącego się wzgórzem, wyjechał jezdziec i zaczął pomykać przez niezbyt wysokie chaszcze, tak, że rozeznałbyś i jego burkę kudłatą i czapkę, i ze łba rasę konia. Wszystko tam było ukraińskie, i należało do Ukraińca kozaka.

Słońce tylko co siadło: wieczorna czerwoność poczepiała się po łanach, po drzewach, po krzyżach przydróżnych, szérokie pół-nieba odbijał wielki staw między biodrami pagórków; trzy wieże cerkwi, podobne zaklętéj matce z dwojgiem dzieci, najdłużéj żegnały znikającą jasność. Tymczasem w dolinie, nad siołem, błoniami, stawem, zakurzyła się mgła z dymów i pary wodnéj; nazwałbym ją tchnieniem kozaka, bo jezdziec, który poglądał z grzbietu góry, radby czarniejsze wyzionął dymy na tę dnia resztę, taką miał żądzę w oku, a taką powściągliwość w cugli i pletni. W minucie mógłby stanąć u kresu marzeń całodziennych, a czwałowego biegusa zażywa stępo, a łeb mu zadarł musztukiem? Powiesz, że Ukrainiec, syn poezyi po cudownym przestworze rozbujał myśli? Ducha pasie po tych smugach papużych? Po zwierciadle stawu puszcza go z jaskułką? W gaju gęstolistym ze słowikiem dzwoni? Nie — tą razą ręczę, że nie patrzał, nie dumał; Kozak klął na czém świat stoi, klął długi dzień letni i zachód jaskrawy; gniewny i zapalczywy, nie cierpiący przeszkody, choćby z samego nieba; jak czart północy, on czekał mroku i gwiazd; on, taki tajemniczy, co utopił w burkę i czapkę całą twarz, całą, prócz oczu mocno patrzących, mocno zapalonych, mocno niespokojnych.

Głęboki parów zarosły lasem jaworów, klonów, krzewami czeremchy, łączył się z doliną, w któréj leżała wieś Serby. Od kraju lasu sad najdościglejszych owoców pełny, ukrywał pod szérokiémi gałęźmi kilkadziesiąt pniów pasieki i mieszkanie młynarza; jakoż niezbyt opodal szumiał młyn o kilku kamieniach na grobli.

Powabna ta wiejska ustroń; sioło za błoniami, za stawem rozściągało pół-kręgiem białe chaty; od sioła szła wązka drożyna, i tu się kończyła, jakby chciała mówić strudzonemu pielgrzymowi: chceszli uciec od świata, osiądź w téj samotni, a dam ci towarzyszkę rozmawiającą przyrodę.

Jezdziec tymczasem spuszczał się z wyżyn krzaczystych i znikał w wielkich drzewach parowu. Może zbiédzon drogą i nieznośnym upałem chce się ochłodzić dościgającémi owocami, lub rozkroić arbuza na bogatym basztanie?[1]) Pocóżby zjeżdżał w ten zaciszny futorek?[2]) Nie dziwmy się.

Byłto rok 1768; a wówczas spotykałeś prędzéj żywą duszę na manowcu, niż na bitym gościńcu. Szlachcic, ksiądz, Żyd, uciekał z chudobą w knieje i stepy; chłop uzbrojony ganiał i mordował Lacha z wysokim kołnierzem, długą kapotą. Kapota znowu przysiadła czuhaje[3]) i baranie czapki. Kozactwo poćwiertowane, połamane kołni, powiązane do szubienic, uległo; a podjazdy wojewody Stępkowskiego roznosiły niezmierny popłoch na całe Pobereże.

---

1) Basztan — ogród w polu na melony i kawony; z tureckiego *bostan* — ogród.
2) Futor — zagroda dla bydła w lesie lub polu.
3) Rodzaj siraka, opończy.

Zmrok nastąpił powszechny. Z dala, z zawody słychać głos chłopaków, zaganiających towar[1]) do zagród; na stawie huk bąka, podobny do bicia z dział; na grobli szum lecącéj wody po kołach; a bliżéj w gęstwinie, stąpanie kozackiego konia wązką ścieżką zarzuconą łomakami suchémi.

Jezdziec musiał doskonale znać jak i kędy? z mnóstwa pokrzyżowych ścieżek obiérał zawsze najkrótszą, wiodącą do sadu lub młyna.

Na dnie parowu była lewada[2]) ze źródłem i krynicą; wszystko dla pszczół i dla sąsiedniego basztanu w czasie upałów ku wygodzie. Porzuciwszy gęstwinę tam się Kozak zatrzymał; rozkiełznał łoszaka, a uderzywszy pletnią po grzbiecie, puścił na paszę:

»Paś się mój siweńki! tobie dobra trawa, mnie mołodyca!« I poszedł spiesznym a pewnym krokiem, z cicha dumek próbując po tysiącu melodyj ukraińskich, niby po wszystkich strunach uczuć, szukał stosownéj z obecném swojém położeniem; dopiéro gdy odgarniał gęste sploty leszczyny, nutę zamienił na słowa i tak zaczął:

Niesie konik Kozaczeńka
W noc tumanną na bezdroże;
Co tam duma jego neńka:
Czy łuczywo tli w komorze?
Jeżli duma, a nie o nim;
Jeżli świéci, nie dla niego.
A konika darmo zgonim,
O garść wiatru stepowego...«

I uciął. I słuchał czyli uronioną nutę nie podniesie głos znany mu dobrze, milszy nad rzenie ulubionego rumaka, nad jęk konającego Lacha pod nożem, nad piski w płomieniach, nad wszystko, w czém jego dusza lubowała najlepiéj... I nic — cicho mu było; nic prócz wiatru wiejącego po liściach. Miejsce, wczoraj jeszcze tak pełne życia, tak zaludnione, że piersi nie mogły tysiącznym wrażeniom podołać, teraz wydało się jemu zadżumioną wioską, dworcem polskiego pana po hajdamackiéj hulance. Bo też wiekiem dla niego dzień bez niéj spędzony w gęszczach lasu, na czatach, na tułactwie, najczęściéj z łożem janczarki przy oku. A dla niéj czy już nie wiekiem dzień bez niego, śród turkotu kół młyńskich, zwykłych zatrudnień hadziajki[3]) i natręctwa zalotników i gdyrań starego młynarza? Dotąd wieczorna godzina łączyła ich, rozłączało świtanie. Znowu nadchodził dzień długi, nieprzetęskniony, nieprzedumany, nie do przeżycia.

»Choćbym smołą się rozlał,« jęknął Kozak w przebranéj cierpliwości, »zostanę tu (i nogą uderzył w ziemię) tu, do dnia białego; niech mię szpiegi wytropią, niech pochwycą, związanego na pal wbiją; nie ruszę się ztąd kamieniem...« I wstrząsał się i zgrzytał i wpadał w dziki śmiéch. Straszny w udręczeniu swojém! Jak dziecko miękki w żałości:

»Tyś wszystko zabydź powinna dla naszéj miłości... Wszystko! jam przecież zabył co było, co będzie. Czemuż wczoraj i zawsze piérwsza czatowałaś na mnie z rozognioném sercem, niespokojném okiem, gotowém objęciem... a dziś, dziś!« I brnął z podejrzenia w zazdrość, z zazdrości w rozpacz.

Co cię wstrzymuje Kozacze? — chata jéj blizko. Kto wié? ktoś szczęśliwszy może od ciebie, słyszy rozognione serce, w gotowém objęciu, pod niespokojném okiem?

Leć!... utop nóż w przeniewierne serce, napaś się widokiem zemsty, najmilszéj, najpotężniéjszéj z twoich uczuć, znanéj ci w najdrobniéjszych odcieniach od zagłady całego plemienia do uśmiéchu pogardy.

Cóż cię wstrzymuje? stoisz jak przykuty, wrósłeś w ziemię, jak drugie drzewo, niby cierpliwy męczennik...

Słuchaj!... Po krzakach lekki szelest i ciężkie stąpanie. Co to znaczy? Słuchaj!... Rozmowa cicha, głośniejsza:

»Puśćcie! rozerwiecie mi korale.«

»U mnie znajdziesz ćwierciami większe i piękniejsze.«

»Daruj je twoim Laszkom, one wam się przedają po każdéj cenie; ode mnie wam daleko!«

Znowu głos natrętny, znowu odpowiedź wzgardliwa; nakoniec krzyk kobiécy, wołający o pomoc...

Kozacze! to głos tobie znany, najmilszy w świecie, piorunem przygwoździł cię do ziemi. Lach sięga po twoję własność; Lach któremuś zaprzał wszelkiego dziedzictwa; Lach!... zaklęcie to mogłoby i kości twoje z grobu poruszyć.

Dotknął cię do żywego! skoczy iskrą!... Gdzie tam, jak błogosławiony peczerski[1]) stoi

1) Bydło. 2) Łąka. 3) Gospodynia.

1) W Peczarach w Kijowie znajdują się Swięci pomieszczani we framugach.

oparty głową o pień, skośniały!... Księżyc w żywe mu oczy zaziéra, kruk na duszę, wlecze ją na potępienie w otchłań przeszłości, tańcującéj widmami zgorzelisk, serc drgających, szkieletów ohydzonych rzezią; w uszy kraka krzykiem topielców studni humańskiéj, niemowląt roztrzaskanych głowami o mury; ciało wierci bolem dartych pasów, piersi uciętych, dławionych dymem...

I cała przeszłość grała w słuchu, wierciła po kościach, w oczy wglądała. Tysiąc barw światła młyńcem obraca się, aż wszystko stanie w bieli, niby trup w żgło owinięty; ogrom wycina się w kształt, maleje w olbrzyma: w kobiétę. Kozak marzył; czy nie marzył? może piérwszyto raz podumał, wspomniał? może, nie wiém!

»Tetjano! to ty?« ledwie otwarłszy usta przemówił do stojącéj przed nim kobiéty w bieli, z szyją pełną korali, z wzrokiem szyjącym w głąb serca.

»Hołubku mój!« zawołała mołodyca. On zarzucił jéj na szyję męzki silny uścisk. Ona wzdychała i tuliła głowę pod burkę do piersi.

On milczał — ona była cicha, jak łaszcząca się kotka. Ale zato wzrok Kozaka płynął ogniem; a mrozem padał na jéj czoło, na ramiona, na piersi, spływając pod same stopy. Ten wzrok: to jego potęga — talizman; kogo opisze tém kołem, wiedzie go za sobą, jak sokoła myśliwiec, koleją własnych przeznaczeń, jednym rozkazem, świstnieniem.

Niegdyś moc tych spojrzeń musiało wystarczać na całe plemiona; i wtedy były długie, szérokie, rzkomo błyskawice przez całą chmurę; a dziś... spadają piorunami na dół, na głowę istoty rozkochanéj do szaleństwa, a tak drzącéj, tak słabéj, że każde wzburzenie namiętności zda się ją pogrążać, w proch niszczyć; ale ona podobna śnieżnéj pianie wybiega zawsze na wierzchołek fali; wzburzeniu krwi, w pękaniu serca, w zawrocie mózgu, w dreszczu śmiertelnym, krzepi się życiem, dopiéro oddechać poczyna...

»Och! och!« mówiła niewiasta, odgarniając pół-przejrzystą namitkę [1]) z twarzy, gdzie się malował wyraz głębokiego uczucia i świeży ślad trwogi. Rękami obwinęła kolana mołojca, kolumnę kościoła ucieczki. »Och weźmij mię, uchodźmy w świat — daleko; póki możemy coś począć ze sobą. Lach obmierzły najechał nasze podwórze; jak licha wszędy go pełno, ani mi o tobie podumać, ani wyglądnąć, wszędy on krok w krok za mną. Wieczór się zbliża, serce mi bije do rozpuku; czułam, że czekasz, że tęsknisz, że przeklinasz. Otwiéram okno w komorze, uciekam w las, uciekam — Lach zgonił czatujący; na płacz, na gwałt, przybiegł stary mój Grzegorz: zastawił mię od napaści: »Panie, hola, nieprzybiliśmy jeszcze targu!« zawołał... nie słuchałam już reszty; puszczam się w najgęstsze krzaki, bez pamięci lecę, i nie wiém jak się znalazłam przy tobie... Och miły! nie oddawaj Tetjany Lachowi na wolę, stary mój sprzeda mię za co bądź, za złamany grosz, nie darmo mówią, że w nim lasza żyłka; sprzeda mię!... a Lach przybierze w atłasy swoje, gorsze tarniowéj koszuli; a Lach mi każe modlić się w ich kościele; a Lach mię osadzi na pustyni swojego dworca. Miły mój, wyjmij mi oczy, wyjm mi serce tym nożem, a nie dawaj Lachowi z sercem i oczyma, boby ciężko było sierocie na czużynie!...« i obwijała się u nóg Kozaka.

On stał nad nią niby zimny, obojętny; ze zwieszoną głową na piersi; ściskając turecką rękojeść noża. Tak zawsze czynił, gdy potrzebował rady; natenczas żelazna wola jego wydobyta z głębi, idzie bez oporu, jak kindżał, co się po kościach ślizga, aby serca domacał.

»Więc znowu pohulam!« zawołał ponuro, a krew mu wszystka do czoła zbiegła. »Znowu muszę odmłodnieć, kiedy stara głowa moja tęskniła za poduszką, chatą, miedzą; kiedym mołojców chciał w świat rozpuścić, konia zaprządz do pługa, nożem w grzędzie kopać, burkę dać wróblom na strachy!... Ej Lachu! Lachu! myłeś się w płaczu, kąpałeś we krwi, piekłeś na węglach... a jeszcześ grzéchu nie odwykł! miarka nie domierzyła się!... Ręce moje niegdyś struny łuku, wiszą jak pletnie po obu bokach; oczy moje, niegdyś pojrzenie na miedź rozpaloną, nie palą zamków twoich! i mnie się już przebrało, nie ten ja co był... Ale dójdą karby... odpłata krzywdę wymierzy...« Tu dziwny wyraz twarz jego przybrała; bełkotał z głębi piersi głuche słowa; ręką wskazywał na północ, wywoływał, zaklinał; potém wysypywał z niéj niby piasek,

[1]) Namitka jest delikatną tkaniną z przędzy niewybielonej, któréj końce rozpuszczają z głowy na plecy.

niby po całym świecie... i użalał się... i marszczył i dziko chichotał. Widać jak wpadał z widzenia w widzenie, patrząc w skrzące się gwiazdy, czytał jak mu wściekła namiętność szeptała: często głosu i nie słychać, ale usta same drgały myślami, a jakiémi myślami!... włosy powstają, strach kolana zgina...

Głupi proroku! przyszłość, arlekin w masce, stoi tam za zwierciadłem twych urojeń, wykrzywia się tobie szatańskim umizgiem i powiada: »Karby nie dojdą — miarka nie domierzy się!...«

Świstnienie, długie, dzwoniące w uszach. Kozak strzepnął się jak ptak skrzydłem, widma leciały w przepaść, niby ćma szatanów do piekieł; niewiasta ocknęła się, marząca jego widmami.

»Co to?« spytał mołojec. »Kto świsnął? ha, rozumiém...« i odpowiedział podobnémże świstnieniem. Nie wyszło parę pacierzy, gdy z różnych stron wybiegli trzéj Kozacy; ostrożni w kroku między krzakami, jak lisy, bez szelestu, tętnienia.

»Witaj atamanie!« Wszyscy trzéj ścisnęli go kołem i szeptał mu każdy coś do ucha.

»Znam już, znam!« odrzekł ataman. A wart nim być, bo na zuchwałą postać jego, na hardy wzrok, choćbyś ich trzech złożył, jakkolwiek każdy dziki i zuch — nie stałoby jeszcze na jednego, jak on.

Teraz oni znowu schylili się; ataman dawał czy radę, czy rozkazy?

»...Za piérwszém kuro-pieniem — otoczyć (znakami objaśnił mowę) żywcem — związać — podpalić — rusznice — szable — konie — pochód — Wołoszczyzna...« Urwane słowa, ale dla nich, jak pismo święte, budzące, nieodmienne, dziwnéj mocy...

Patrz, jak pojrzeli po sobie iskrzącémi oczyma, rzekłbyś stado wilków, wietrzących o gromnicach owczarnię.

»Czas bo już atamanie wyruszyć w pole; osiedliśmy tu na gorącym lodzie. Lach w koło puszcza gończe, już nawet pije na naszę skórę, jak szewc; i łatwo jéj dostanie, mimo naszych deber i zasieków dostanie, a wtedy nie pomoże i Święty Boże!«

»Pomożem sobie, pomożem!« odparł ataman z uśmiéchem dumy i ufności. Skinął ręką: Kozacy jak przyszli, tak znikli; bez szelestu, tętnienia, wśród krzaków, lisy.

Tetjana przyklękła; niema, drząca, z załamanémi rękami, podziwem i cześcią przyjęta. »A-ta-ma-nie!« rzekła przewlekło, cicho.

On nie zostawił czasu rozwadze, przycisnął ją do piersi, otulał burką, pieścił, za każdym razem powtarzał: »Atamanko moja!«

Niewiasta zapomniała wnet o jego atamaństwie, o jego sławie w kozaczyznie, o wszystkiém... Wkrótce pustynią stała lewada; wiatr tylko zawsze pociągał krzakami leszczyny, źródło zawsze klekotało w krynicy.

II.

A był tam chłopiec, sztuczka śmiała, żwawa:
Przylgnąć do dziewczyny, coś spłatać, jedyny.
Zamek Kaniowski.

»Chłopcze! pójdź sam!« wołał na chłopaka Węgrzynka, mężczyzna półrozebrany, leżący na rozesłanym kobiercu, miał bowiem lekki kaftan z litéj materyi tureckiéj, i feskę na głowie. »Skocz mi, i przyzwij tu młynarza muszę z tym dziadem raz skończyć, a zjé diabła, jeżli mi się wykręci.«

»A ty,« tu mowę zwrócił do stojącego przy kominie z wielką łyżką, w zielonéj kurcie, z białémi owisłémi wąsami, zapewne starego szafarza; »a ty, dostań puzdro z winem i gdańszczanką, coś chłodno w podwieczór, trzeba się ogrzać, ba i naszego gospodarza uraczyć.«

»Ej paniczu!« odrzekł stary, odstawiając kociołek od ognia, »ostrożnie nam do flaszy zaglądać!...« Tu pokręcił głową i tajemniczo się zbliżył do leżącego pana:

»Bóg wié, jakie tu nas spotka nieszczęście! przed chwilą coś mię ciągnęło obejrzéć te krzaczyska, podchodzę, zaszémrało w gałęziach; patrzę: dwoje oczu wilczych, czy kocich, patrzało we mnie z ciemnicy; spłoszę, jeżli zwiérz, pomyśliłem, to ucieknie. Klaszczę w ręce, darmo! patrzę, cisnąłem kamykiem; patrzę jeszcze... znam cię ptaszku! gorsze to oczy, niż bazyliszka. Choć nasi trąbią, że z czeredą Gonta zniesiony, przecież mnie się widzi, że on naszéj szlachcie sadła jeszcze za skórę zaleje.«

»Pleciesz jak Piekarski na mękach!« odparł panicz z żywością: »Musiałeś z bukłaczka[1]) nie źle pociągnąć, kiedy ci w oczach się iskrzy; kiedyś zapomniał, że pan wojewoda wytępił Hajdamaków, że herszt dawno wisi; a choćby i zmartwychwstał, to diabeł nie tak czarny,

1) Bukłak — rodzaj obozowéj flaszy.

jak go malują: Gonta chłop, szabla szlachcica nie kij, a chłopa kijem tylko nie zabijesz.«

Z tém wszystkiém ponabijałem krucice, w garłacza dwanaście kul poszło, kartuza zaopatrzona. Strzeżonego Pan Bóg strzeże. Ukraina nie Warszawa; a starego jegomości tu nié masz, aby wykupił nas z rąk kozackich, jak niegdyś od Żydków na Pociejowie, kiedyto...

»Stulże gębę! stul Mazurze z pod ciemnéj gwiazdy! uszy ci obetnę...« I ze złością porwał się do stojącego u głów kordelasa.

Szafarz nie zrobił najmniéjszego poruszenia trwogi; odwrócił się pomrukując: »Slepy Mazur! dyć on lepiéj widzi niż ten, co się widzący urodził. Wleźliśmy tu kiéj Piłat w kredo; ej! źle mi coś do ucha szepcze! i bryś czegoś jak ja smutny;« tu pogłaskał ogromnego brytana, który szedł za nim, »zawsze nie dawał człowiekowi spoczynku, a teraz ogón pod siebie, uszy w dół... ej! ej!« I szedł ku wielkiéj bryce krakowskiéj, przy któréj stało cztéry konie, podzwaniając dzwonkami chomątów; z bryki dobył puzdro, krzyknął na siedzących szeregowców przy ognisku, aby na ostrożności się mieli, zachowali trzeźwość, czujność i gotowość do siadania na koń, gdyby potrzeba wypadła. Przestrogi starego sługi nie wiele musiały skutkować na umysłach żołniérzy, gdyż śmiéch i głośne żarty powstały w ich gronie, stary zatkał na to uszy, wszedł do chaty, gdzie zastał już młynarza w rozmowie z paniczem.

»Dawajno wina, marudo! czyś do Węgrzyna chodził pod złote korony?« krzyknął chorąży; bo tym był ów młody mężczyzna; szałaput zawedyja, rozpustnik na wielką stopę, zepsute dziecko Warszawy. Ojciec, znudzony płaceniem długów jego i zaciéraniem awantur, kupił mu nareszcie stopień wojskowy i wyprawił za rejmentem na Ukrainę, mówiąc: niech go kat porwie, albo niech co będzie dobrego. W téj nowéj szkole nie lepiéj sobie panicz poczynał; nawykły do łatwych zwycięztw z pięknościami stolicy, próbował szczęścia wstępnym bojem, i najwięcéj miasto liliowych rączek, spotykał ciężki kij na grzbiecie; taką hańbę podług praw honoru należało myć we krwi; to też prawie zawsze odnosił pamiętne szramy, które rachował na karb ukraińskim Hajdamakom. Pytanie teraz, co go tu zaniosło, w ustroń odległą od bitéj drogi mohilowskiéj? Czemu oddział powierzonéj mu jazdy narodowéj porzucił o pół mili w karczmie, a sam lichą obrał lepiankę wśród lasu, dość podejrzaną w oczach rozsądnych ludzi?

Rzecz bardzo prosta: na drodze do Mohilowa Żydek w karczmie mu szepnął, bo zgadł jakim kramem służyć: że w Serbach prześliczna młynarka, że młynarz stary za groszem się trzęsie, że wskóra co zechce.

Gdzie się podobna gratka natrafiła, nie zwykł pan chorąży długo rozważać, myśléć, wnioskować. Wiémy jak się piérwsze natarcie powiodło; teraz trzeba użyć fortelów; więc z młynarzem układy:

»Pijno, pij gospodarzu! wino te skrupuły rozpędzi. Wszakżeście podobno szlachcic, a u szlachty co w sercu to i w ustach.«

Młynarz przyjął z uszanowaniem szklankę, pokłonił się nizko, musnął po czuprynie.

Młynarz przy święcie nosił długą kapotę, opasywał się pasem łyczakowym, kroił na szlachcica; lecz z chłopami żył brat za brat, w cérkwi z diakiem do chóru śpiewał. Nikt go nie pytał, czy z Lachami, czy z czeredą trzyma? to pewna jednak, że go obiedwie szanowały strony, dla obudwóch był arcyważną osobą: młyn jego i w największéj posuszy nieustannie na cztéry kamienie robił; a worek rozsuwał się dla sąsiadów, ilekroć z dobrym przychodzili zastawem.

Za trzecią szklanicą język młynarza rozwiązał się, wylewało serce: »Ach, jasny panie! chudego pachołka tak uraczyć! daruj żem z razu grubijańsko się znalazł; człowiek niegdy po dworach sługiwał i znał co polityka, ale skoro tu zalazł między wrony, nuż krakać jak i ony.« I ściskał go za stopy, w ręce całował... »Oddałbym, widzi Bóg, z poddUszy co mam, ale ja biédny pachołek...«

»A mołodyce!« rzekł skwapliwie chorąży.

»I mołodyce!« zawołał niby z uniesieniem; biéda z woza, koniom lżéj!«

»Więc zgoda! biorę wam biédę.«

»Ale, ale!...« Zaciął się i kręcił głową: »Co ludzie rzekną? baby, jak w żabińcu skrzéczéć będą: a gdzieś podział kobiétę, a zmarnowałeś jéj świat! a, a! i czary rzucą na mnie, gotowe otruć; a chłopy, jak gawrony: o! z Lachami trzyma, Lachom przedał krew naszę, i chwycą się do pałek i ubiją.«

»Wina chłopcze, wina w szklanki!«

I młynarz pił, chwytał za stopy, duszęby oddał.

»Hej tros z talarami! dobijmy targu...«

»Przy gotówce insza mówka!« wtrącił młynarz. I chorąży wysypał błyszczące, brzęczące na kobierzec talary. Pod młynarzem nogi zadrżały, wino ze szklanki chlupało, oczy białkiem zaszły: »Dzięgito! dzięgi!« bąknął z trudnością.

»Panie Grzegorzu! przysiądźcie tu bliżéj, na skrzyni; bliżéj,« i więcéj wytrząsał, brzęczał... Okrutny! —

»Schować te pieniądze, panie! bo mi się widzi, żebym was zabił.« Młynarz zrobił poruszenie gwałtowne. Dreszcz mimowolny przebiegł młodzieńca, obejrzał się po izbie: kaganek przygasał, z kąta rozchodziło się chrapanie: »Pięćdziesiąt!...« Zaczął liczyć, wytrząsać, brzęczéć.

»Panie! schować mamonę!« Febra trzęsła mu policzki i usta.

»Wina chłopcze!... Coto wam Grzegorzu? nie chcecie wina?«

»Dzięgiżto! dzięgi!« Twarz rękami zakrywał, żegnał się, jak od pokusy.

»Przyczyniam drugie tyle.«

»Sto! sto!« rachował po cichu, niby chciał; znowu się wahał, mruczał: »...Dziesięć sznurków korali, spodnica lamowa, bekiesza, buty safianowe; wszystko coś warte...«

»Wezmę ją, jak Bóg stworzył! Jeszcze pięćdziesiąt, i basta!« I zaczął liczyć, wytrząsać, brzęczéć.

»Hadzajkażto, hadzajka! w chacie czysto, w komórze zasobno, na grzędzie bujno — i to coś warte;« ciągnął młynarz swój monolog.

Młynarza łakomstwo bodło: w trzosie były jeszcze talary, chciał wszystko albo nic; lub czegoś więcéj... Młodzieńca żądza bodła. Co mocniejsze? Młynarz rozwarł powieki, liczył: wozy, pługi, woły; liczył lichwę od lichwy... Młodzieniec ocenił okrągłość lica, kibić, lat ośmnaście, pierś, brwi wązkie sobole, oczy ogniste z długą rzęsą. I zaczepiły się wzrokiem dwie żądze: pieniędzy i miłości; rzekłbyś dwie kanie szponami.

»Bierz! wszystko bierz łakomcze!« krzyknął pan chorąży, rażony jak żądłem wspomnieniem Ukrainki — i rzucił trzos dziadowi w oczy: »Bierz! a staw gotówkę.«

Młynarz zgarniał talary w czapkę: »Jest, jest, będzie — o! przyjdzie — wieczerzy się zachce, to przyjdzie; trochę krwi zimnéj — przyjdzie — przyjdzie; jeszcze i naprzykrzy się...« Bełkotał pod nosem, a wszystkie członki w nim drgały. Jak Judasz zgiął się pod nieprawą przedażą, przesadził próg, na podwórzu owiany powietrzem, mózg mu zaczął tańcować, nogi szły w zygzak, ciężar metalu cisnął do ziemi, i pod krzakami dziad się na pieniądzach powalił.

Pan chorąży, rozogniony, z burzącą się krwią po żyłach, nastawiał ucha na szmer najmniejszy, czekał, niecierpliwił się, przewracał po pościeli, mordował; wino zaczęło rozmarzać; mgła zasuwała oko: piec, ławy, stół, belki, bohomazy na ścianie, wszystko przebierało fantazyjne postacie: ruszało się, kręciło, mrugało, dławiło... Kaganek skwarczał na kominie blizki zgaśnienia, łypał przeraźliwém światłem. Pół-sennemu oku dziwnie majaczyły te cienie zakamarków i ruchome blaski po wiązaniu pułapu. W kącie chrapał Węgrzynek i Mazur; brytan u nóg skowyczał; w kominie wiatr przegrywał. Półsennemu uchu ta nocna muzyka wydała się skrzypką diabelską—. Wyobraźnia, skoczek na drucie, zaczęła pląsać nad ziemię, i coraz leksza, lotniejsza, unosiła się nad balkony, nad dachy, nad kopuły wież stolicy. Sala w zamku królewskim: bal, krocie świéc jarzących w brylantowych świecznikach; ściany z luster, z luster sklepienia, z luster posadzka... On, przeobrażony w motyla; poły fraku, paryzkiéj mody, przybrały kształt skrzydeł, z *blonde alongée* peruki wysypał się pyłek stu-barwy. Po kryształowych szybach w pogoni za swoją Ukrainką, odbitą tysiąc razy; tu jest, tu znikła, tam cały tłum stoi, wszystkie patrzą jéj twarzą — nie ujdzie mu teraz: chwyta — znowu nic i znowu nic!... jak płomyk nieujęta wszędy i nigdzie... Muzyka niewidzialna, anielska, rozkołysała bardziej serce do rozkoszy, jak wietrzyk dęła w skrzydełka; on się wzbija, szybuje, mierzy okiem; spadnie na kielich rozwitéj róży, skąpie się... osmalił skrzydełka, bryła ołowiu runął na ziemię;... gmach zwierciadlany rozpękł w milijony szkieł: całym ciężarem gniecie, oddechy przecina! kaleczy!

»Gwałtu! gwałtu!« Pan chorąży boryka się ze śmiercią... na nim leży Hajdamaka całém ciałem, i w żylastych kleszczach go ściska, dławi — po tobie już! módl się... Na karku Kozaka siedzi wierny brytan, warczy i wygryza mu ciało do kości. — Kaganek buchnął blaskiem... Z resztą zmysłów postrzegł leżący na spodzie, że Kozak dobywał noża z zapasa. — Psie! spiesz się ze śmiercią Kozaka. — Zbójco! spiesz się ze śmiercią ofiary. Nóż błysnął w powietrzu i zagrzązł lekko w ramię młodzieńca: chorąży rzucił się konwulsyjnym rzutem, a Kozak, trup, stoczył się na ziemię. Chorąży podniósł wzrok do góry, jakby chciał niebu dziękować i ujrzał nad sobą nogi, spuszczające się przez ściel wydartą...

»Broń moja! szturmak! pistolety! gwałtu!« — Szukał, wołał, biegał, plątał się w ciemnicy.

Okno wybite wpadło do izby... Zajrzały wąsate twarze, ostrze nożów, oczyska rozświécone strzałami rusznic.

Drzwi wysadzone rozsypały się... Znowu wąsate twarze; ostrze nożów, oczyska rozświécone strzałami rusznic.

»Tu Lach! tu go masz!... precz noże, precz rusznice, wiązać; poddaj się Lachu! poddaj!«

Ręce zbójców, jak w jaskini wężów, dusiły go, obwijały, gniotły pod siebie.

»Wiązać go!« Kozacy odpasywali harasowe pasy.

Po tobie już! Co tu nożów! a w każdym śmierć, zginiesz! zginiesz dla wszystkich uciech tego świata — módl się!

Błysło — z kąta strzał wyleciał!... Ręce Hajdamaków na bok odpadły, jeden przez drugiego się walił, taki strzał gęsty!

»Dobry mój garłacz! ot szabla, ratuj się panie!« i w mgnieniu poczciwy Mazur sam piérwszy oknem wyskoczył; torując panu swemu drogę.

Ucichła na raz wrzawa. Dym gęsty zaczął napełniać chatę; przez ściel zaziérały płomienie: duszno, gorąco, ni trafić do okna; ni drzwi domacać: Konający prędzéj tu skona; ranny będzie pełzał i wody wołał; zdrowy przejdzie przez wszystkie męczarnie: gorączki, wody, skonania — bo gdzie tu nadzieja!?

(Dokończenie nastąpi.)

— Ze Lwowa. —

Niemieckie pismo tutejsze *Mnemosyne*, którego redaktorem jest znany botanik profesor dr. Alexander Zawadzki, umieszcza teraz ciągły artykuł o roślinach krajowych, na wolném powietrzu kwitnących, opisując miejsce ich kwitnienia w okolicach Lwowa, ich własności lub użytek, jaki sprawują.

W Wiédniu wyszła świéżo broszura: Dodatek do historyi najdawniéjszego polskiego Psałtérza, przez Stanisława hr. Dunina-Borkowskiego. Jestto odpowiedź na krytykę, umieszczoną w »Rocznikach literatury austryjackiéj *(Jahrbücher)*,« w tom. 67 z r. 1834, na str. 154. Autor, wydawca Psałtérza królowéj Małgorzaty, przebiega dzieje tego najdawniejszego pomnika mowy polskiéj, i przechodzi potém do zarzutów, czynionych mu przez pana Kopitara, które zbija swojémi dowodami. Zdaje się, że wdzięczność uczonego świata za wydanie tego pomnika, wyłącznie samemu wydawcy się należy, który oprócz poniesionych kosztów na druk, 400 wybitych egzemplarzy darował na dochód ubogich w parafii Sgo Floryjana w Lincu.

Z Krakowa (wyjątek z listu). Bardzo tu pochwalają usiłowanie pana Helcla w wydawaniu: Kwartalnika, którego redakcyją zajmuje się margrabia Wielopolski, a współredaktorem jest pan Paweł Popiel. Obadwaj znani są ze swoich literackich zdolności. — Wyszedł zeszyt piąty Widoków miasta Krakowa i jego okolic, i zamyka w sobie: *a)* Kościoł P. Maryi w Krakowie; *b)* Mogiłę Kościuszki; *c)* Wolę Justowską i *d)* Bielany. Do tego zeszytu dołączona jest »Karta wolnego miasta Krakowa i okręgu.« Można w tym zbiorze pochwalić piękność rysunku pana Głowackiego i byłyby pożądane podobne widoki miasta Lwowa i jego okolic, gdyby je kto równie dokładnie wykonał. A.

Z Warszawy. Dzieje średnich wieków, historyja tłumaczona na język polski z dzieł Fryderyka Rühse (dwa grube tomy), gotową jest do druku. (D.P.)

Z Petersburga. Znany podróżnik nasz, pan Józef Kowalewski, wygotowuje do druku nowe dzieło, z którego prawdziwą dla literatury naszéj ozdobę rokować możemy. Jestto odbyta przez niego: Podróż do Mągolii i Chin, którą w języku polskim wydać przedsięwziął. Trzy tomy mają zawrzéć listy o Buriatach i Mągołach, czwarty i piąty o Chinach, szósty poświęcony będzie jedynie dziejom missyi katolickiéj do Chin, a zwłaszcza nowym i obfitym szczegółom o pracach jezuitów. W dodatku przyłączone będą tłumaczenia autentycznych świadectw, różnych legend, powieści, poezyj i historycznych urywków. Oczekujemy z niecierpliwością wyjścia dzieła tego, z którego treściwe wyjątki czytywaliśmy w »Tygodniku Petersburskim.«

Z Wrocławia. U W. B. Korna wyszło tłumaczenie poematu lorda Byrona: Manfred, przez Edw. St. Bojanowskiego. — Donoszą z Krakowa, że jeden z tamtejszych literatów ma wygotowany drugi przekład tegoż poematu.

Pomnik, poświęcony pamiątce J. J. Rousseau ostatecznie ustawiony został w Genewie d. 24. lutego. Ma to być bardzo ładny pomnik i godny tego znakomitego autora. Przy ustawieniu onegoż grano jego ulubione pieśni; w chwili, gdy odezwała się pieśń: *Allons danser sous ces ormeaux* (tańczmy pod témi wiązami), mimowolnie ujęła się młodzież za ręce i tańczyła w koło posągu. Wystrzały z dział dawały się co chwila słyszéć. Na widowisku scenicznem przedstawiono operę Russa: *Le divin de village*.

Komedyjo-pisarz Scribe ułożył dla teatru *Gymnase* krotochwilę w jednym akcie, która powszechnym i zasłużonym oklaskiem przyjętą została. Ma ona być pełna dowcipu, humoru, a razem biczem i podrzyźnianiem samobójstwa z miłości. Na Francuzach, którzy się tak bardzo wyśmianémi być lękają, ten żart sceniczny może sprawić skutek zbawienny; zwłaszcza teraz, gdy się samobójstwo tak dalece we Francyi uzwyczaiło, iż tyle prawie zabiérać ofiar zaczyna, ile ich wprzódy cholera zabiérała. Nie dawno jeden z uczniów dla tego się zabił, iż nie nauczywszy się pensów, obawiał się w szkole zawstydzenia.

Administracyja teatru *Porte St. Martin*, ostrzeżona nieszczęściem teatru *Gaité*, który zgorzał, kazała zrobić tak zwaną: machinę Gueryna, która w jednéj chwili tak wielką massę wody ze wszystkich stron wylewa, że teatr od razu prawie zatopionym zostaje, i że téj powodzi największy ogień oprzéć się nie zdoła. Kosztuje wprawdzie ta olbrzymia machina 8,000 frank., ale czémże ta ofiara w porównaniu z ubezpieczeniem się przed nieszczęściem, które zdarzyć się może?

Pan Mortal w Paryżu, były nauczyciel przy instytucie dla ślepych, miał wynaleźć sposób, iż każdy, i bez obcéj pomocy, może sobie sam klawikort doskonale, czysto i prędko nastroić. Ten sposób jest przez niegoż dokładnie i jasno opisany.

Napoleon, który się zawsze bardzo apoplexii lękał, zapytał dnia pewnego dra. Korwizarta, lekarza swego, co o téj chorobie sądzi. »Sire,« odrzekł mu tenże, »jestto choroba bardzo niebezpieczna, jednakże w tém grzeczna, że symptomatami uprzedzająca. Rzadko się zdarza, aby natura była tak niemiłosierdna, i od razu zabijać miała. Piérwszy napad bywa za zwyczaj lekki, jestto pozew bez wszelkiéj opłaty; drugi mocniejszy, pozew z opłatą; trzeci, już wyrok aresztu.« Poźniéj doświadczył Korwizart téj prawdy sam na sobie!

Nie dawno w Paryżu odbył się okropny pojedynek; przeciwnicy nie znali się nawet, i nie mieli żadnego powodu do osobistéj nienawiści; jeden drugiego nie przyprawił o żadne nieszczęście, ani żony nie porwał, ani córki nie uwiódł; spory polityczne były dla nich obojętnémi, a nie można także powiedziéć, że z przyczyny zdań swoich taką walkę toczyli. Obadwa walczący byłyto — psy lorda S. i C. Lord C. założył się o 100 f. szt., że pies jego zabije psa lorda S. Placem

boju była ujeżdzalnia, gdzie mnóstwo sędziów boju zebrało się. Brytan lorda S. był olbrzymi i silny, a pies lorda C. przeciwnie mały i niepokaźny. Za danym znakiem mniejszy rzucił się na wielkiego, uchwycił go za tylną nogę, nie puścił jéj i zmusił przeciwnika tak długo obracać się, aż na wznak się przewrócił; natychmiast skorzystał z pory, skoczył, chwycił brytana za gardło i udusił go.

W żadném mieście europejskiém nie ma tyle małp co w Marsylii, spotkasz je na każdéj ulicy. Wielu żebrzących chłopców trzymają małpy dla spekulacyi, którym każą łazić aż do najwyższych piąter, dla otrzymania jakiéj jałmużny. Co za śmieszny musi być widok, kiedy w otwartém oknie takie zwierzątko się pokaże, w czerwonym fraczku, z kapeluszem papierowym w łapce, proszące grzecznie o jałmużnę. Jeżeli tylko co dostanie, natychmiast zbiega do swojego pana. Zwierzątka te do podziwienia są łaskawe; wiele z nich jezdzi na pudlach; skoro pudel na bok odbiega, małpa daje mu ostrogę, i zmusza aby swego pana nie odstępował.

Niejaki pan Wilzon podał pomysł zbudowania dla Londynu jednego tylko grobowca. Byłaby to piramida 900 stóp w posadzie, 1800 w wysokości, a 94 piątr mająca, któraby w sobie 6,167,104 trunien pomieściła. Gdy umieralność w Londynie rocznie 27,000 trupów wynosi, przeto takowa piramida dopiéroby w dwóch wiekach z dołu aż do góry zapełnioną została; a że do pogrzebania wspomnianéj ilości trupów zaledwieby 1000 morgów ziemi wystarczyło; więcby tak olbrzymia trupiarnia tylko 28 morgów gruntu zabrała; korzyść oczywista i pomysł przedziwny, jednę tylko małą niedogodność mający: iżby się ledwie kwotą 2,500,000 luidorów dał urzeczywiścić!

Dnia 9. marca doszła do Londynu smutna wiadomość o śmierci Dawida Douglasa, który na wyspach Sandwichskich troskliwie tameczne wulkany oglądał. Ten nieszczęśliwy botanik wpadł przypadkiem w jamę, którą na ułowienie dzikiego bydła wykopano, i zastał w niéj dzikiego buhaja, przez którego na śmierć zabodzonym został. Święte dla ludzkości poświęcenie się, ileż ty już krwawych ofiar nie liczysz!

Nie zapomnę nigdy (mówi w dzienniku swojéj podróży pewien Anglik) jak przy wystawieniu w Madras *Makbeta*, młody Anstey, syn sławnego autora: »Przewodnika w Bath,« dla braku jednéj aktorki, wystąpił w roli lady Makbet. Każdemu wiadomo, że w gorącym klimacie broda nad zwyczaj prętko wyrasta. Broda Ansteya, najmocniejszéj czarności, w ciągu przedstawianéj sztuki tak nagle rosła, że lady musiała się między czwartym a piątym aktem ogolić. Parne powietrze za kulisami, zmusiło pana Anstey z całą swoją toaletą wynieść się na chłodniejszą scenę. Natenczas ktoś, chcąc żart złośliwy wyrządzić, zadzwonił. Podniesiono kortynę, a piękny świat w Madras z nie małém podziwieniem ujrzał lady Makbet przy toalecie, tak niewłaściwéj płci żeńskiéj. Wystawmy sobie krzyk i huczny śmiéch publiczności!

Pewien **gentleman** podał do Gazety Bostońskiéj, że w pobliżu domu pani Le Kain na Pearl-Street znalazł prześliczną damską rękawiczkę; przy czém oświadczył, że choćby jéj właścicielka była tak piękną jak kopciuszek, otrzyma niezawodnie swoję rękawiczkę, wraz z ręką jego, jeżeliby ta ugoda przyjemną jéj była.

Pewna dama zapytała: »Zkąd pochodzi, że wszędzie jest więcéj kobiét, aniżeli mężczyzn?« Na co zapytany odrzekł: »Ta rzecz dzieje się w sposób bardzo naturalny: wszędzie widać więcéj nieba, aniżeli ziemi.«

W Wiédniu na balu jeden z młodzików przez nieuwagę potrącił pewnego sekretarza, mającego bardzo cienkie nogi; ten obrażony spłonął całkiem gniewem i zawołał na młodzieńca z fukiem: »A cóżto mosanie! azaliż sądzisz, żeto nie są moje nogi, i żem je ukradł komu?« — »O! nie, bynajmniéj,« odrzekł mu młodzian, pięknie się skłoniwszy; »o to wćpana wcale posądzić nie myślę, bo w takowym razie byłbyś sobie przecież coś lepszego wybrał!«

O nowéj poprawie strzelb. Niedawno wpadł pewny Anglik na myśl przeistoczenia dmuchawki *(Blasrohr)* na laskę z zamkiem perkusyjnym, aby z niéj strzelać prochem. Całe urządzenie jest tak pojedyncze, że do zrozumienia obejdzie się bez rysunku. Rurka przedzielona na dwie równe części, z których się jedna na drugą zaśrubowuje. W części rurki, przybliżonéj do ust, aby w nią dmuchnąć za pomocą przedziurawionéj miseczki, znajduje się mały, szczelnie wchodzący walec stalowy, grubości 1/4 cala, w który dmuchnąwszy, dostatecznéj nadaje sie siły do zapalenia kapsułki, zasadzonéj na kominku *(pistonie)* u poprzedniéj rurki. Tę poprzednią rurkę nabija się, jak każdę inną strzelbę prochem i ołowiem, z resztą zależy od zręczności, aby trafić. W téj poprzedniczéj rurce znajduje się składany stempel żelazny, a na końcu skówka, aby nie wypadł. »Po długiém przemyślaniu, jak dalece możnaby korzystać z téj zabawki, aby sporządzić strzelbę do użytku dla każdego, udało mi się w reszcie uskutecznić zupełnie moje życzenie. Kazałem w tym celu dorobić osadę, w ujęciu tak bardzo zakrzywioną, że złożywszy się do celowania, zaśrubowana tego dmuchawka, a razem strzelba przychodzi w takie położenie, jakiego strzał wymaga, a musztuczek przed usta. Aby się w tym względzie nigdy nie zawieść, kazałem zrobić kilka (różnych) rogowych musztuczków. Po krótkiém ćwiczeniu można z téj strzelby tak doskonale strzelać, jak z każdéj innéj z zamkiem. Taka strzelba bije bardzo ostro nie tylko kulą, ale i śrzutem.«

Jeograficzne wiadomości Persów. W historyi powszechnéj Persa Raszid Eddina (zaczętéj 1314), czytamy miejsce następujące: »Irlanda (Irlandyja) jestto wyspa na środku Oceanu. Ziemia na niéj tak wyborna, że ani szczurów, ani jadowitego robactwa nie wydaje. Mieszkańcy dochodzą do poźniéj starości; zarastają rudo, są rośli, silni i mężni. Na téj wyspie znajduje się źródło, które wrzucone weń kawałek drzewa za tydzień w kamień obraca. Obok Irlandyi leży jeszcze większa wyspa, nazwana Inglitara (Anglija). Na niéj znajduje się góra z licznémi kopalniami złota, srébra, miedzi, ołowiu i żelaza. Drzew owocowych tam pełno. Do cudów tego kraju policzyć można drzewo rodzące ptaki. To następującym dzieje się sposobem; w czasie kwitnienia, postrzegać się daje pewien rodzaj woreczków na drzewie, w każdym z nich siedzi ptaszek z dziobem; skoro owoc dojrzéwa, natenczas ptak dziobem się wykluwa i wylatuje. Dwa lata karmić go potrzeba, w którymto czasie dorasta gęsi lub kaczki. Jest on zwykłém pożywieniem mieszkańców tego kraju. Na obu wyspach znajdują się owce, z których wełny wyrabiają sukna szkarłatne. Król obu wysep nazywa się Szkocyją!«

1. SZARADA: Piérwsze część namiotu składa,
Dziedzic koniecznie drugie posiada;
A kiedy ja obok tego,
Połowa szczęścia ludzkiego;
Gdy zaś nie:
Jedzenie.

2. ZAGADKA: Pókim z drzewa, mam znaczenie,
Proszę spytać piwniczego;
Skoro się w człeka zamienię,
Jestem głupiec do niczego.

Znaczenie szarady w przeszł. Nrze Rozm: Gor-set.
Logogryfu: Szew-szewc.

Redaktor: Jan Nep. Kamiński. Druk Piotra Pillera, we Lwowie.